

Zuzanna Rybarczyk

Fach



fot. Priscilla du Preez / Unsplash

Stałem wówczas na krańcu peronu, rozglądając się dookoła lekko zmieszany. Nie dłużej przecież jak tydzień wcześniej zegnałem rodzinne strony, oddalając się w kierunku Zurychu, a już z powrotem, stąpając po nierównej kostce dworca, pozdrawiałem kłaniające mi się dęby i buki. Ustąpiwszy drogi wjeżdżającym na stację pociągom, skierowałem się więc do rodzinnego domu, wspominając po drodze dzieciństwo, o którym przypominały mi teraz znajome ulice, jakie mijalem, idąc powoli.

Rodziców miałem dobrych, choć chłodnych w obejściu, a w naukach surowych. Matka zwykła znosić ciężkie stosy książek do chłodnej sieni, skąd w wilgotne dni swąd starego, ołowianego tuszu docierał aż na samo poddasze, niosąc w duszącym oddechu kaszel i ołowicę. Mnie natomiast kazano czyścić księgi z kurzu i pajęczyn, a matka co i rusz wyrwała mi z rąk którąś powieść i, wskazując inną, leżącą na pobliskim stosie, oznajmiała zdecydowanym tonem: „tę zanieśiesz do biblioteczki, a tamtą przeczytasz przed jutrem”. Potem wracała do pracy, nie odzywając się więcej.

Księgozbiór mieliśmy wielki. W najlepiej oświetlonej izbie, po wschodniej stronie domu, trzy z czterech ścian wsparte były na ciężkich, świerkowych regałach, na sześć łokci szerokich i na tyle samo wysokich. Ojciec – na polecenie matki – pomalował białe niegdyś półki szmaragdowozieloną bejcą i ustawił na nich stare, opasłe tomy z zatartym już lekko drukiem i wypłowiałą barwą stron. Były to w większości dzieła porzucone, które przynieśli ojcu klienci, a po które nigdy już nie wrócili. Bo ojciec trudnił się introligatorstwem. Nie było w tym jednak nic nadzwyczajnego, cech ten bowiem traktowali mężczyźni w mojej rodzinie jak sacrum, tradycję kultywowaną od kilku pokoleń.

Pierwszy introligatorstwem parął się pradziad, którego po rabacji galicyjskiej wuj posłał na nauki do szkółki łacińskiej przy plebanii na południu Wielkopolski. Tam nauczono go fachu, jako że proboszcz znał się na introligatorce znacznie lepiej aniżeli na gramatyce łacińskiej czy dialektyce. A ponieważ powiodło się pradziadowi

i szybko otworzył własny warsztat, do którego ściągali klerycy z sąsiednich województw, postanowił przyuczyć także swojego syna, by i jemu sztuka papiernicza przyniosła szczęście. Dziad mój jednak – uważany we własnej wsi jak i w sąsiednich za włóczykija i łachudrę – za nic miał nauki swojego ojca; nawet nie myśląc ksiązek całe życie kleić, spakował pewnej nocy tobolek i przeżegnał się u progu drzwi, ruszył w świat pewnym krokiem. Zaledwie jednak zbliżył się do brzegu Proсны, złapali go trzech okoliczni parobkowie, których pradziad odpowiednim trun-kiem uraczywszy, zapobiegawczo o przysługę prosił. Tak ojciec mojego ojca odprowadzony jeszcze przed brzaskiem do domu, pojął, że nie ma dlań przed warsztatem ocalenia i zgodził się pozostać w rodzinnej wsi. Niedługo potem zakochał się, ożenił i doczekał potomka.

Jego syn, pamiętając nauki własnego dziadka, a i o historii swojego ojca nie zapominając, żył w cichym pogodzeniu z przypisaną mu od pokoleń rolą. Uczył się cechu od najmłodszych lat z charakterystyczną dlań cierpliwością. Szybko pojął technikę obkrawania, klejenia i falcowania, a wychodziło mu to tak sprawnie, że wnet podwoił liczbę przyjmowanych w warsztacie zleceń, pracując z godną podziwu, pedantyczną precyzją. Najdłużej zajęła mu nauka wytłaczania okładek; ściągający z oddali duchowni życzyli sobie bowiem tłoczeń bardzo drobiazgowych i trudnych. Ojciec nie odrzucał jednak żadnych zamówień, siadał tylko w rogu warsztatu i z kamienną twarzą, nie wypowiedziawszy ani słowa póki nie skończył, pracował w pełnym skupieniu. Był on – co zaznaczyć należy – człowiekiem z natury spokojnym i milczącym.

Nie odzywał się prawie wcale, żył cicho i niezauważenie, swoją obecność w domu zaznaczając jedynie ciepłym światłem, które do późnej nocy paliło się w warsztacie, podczas gdy on falcował harmonijkowe złamy po obu stronach arkusza papieru. Pogodzeniu z przyszłością introligatora nie był winny temperament przeciwny charakterowi jego ojca. Tkwiła w tym niezłomna wiara w siłę przeznaczenia, w tysiące czy nawet setki tysięcy nici łączących najbardziej skomplikowanymi więzami zawilosci pamięci ludzkiej. Nie było dlań nic pewniejszego, nic bardziej świętego od tajemniczej opatrności, która przenikała wszelkie życie, przewodząc mu bezdyskusyjnie. Powierzał więc siebie całego tej niezachwianej ufności, jaką pokładał w odgórności i nieodwołalności losu, pracując w rodzinnym warsztacie przy melodii własnej, milczącej zgody.

Takaż sama przyszłość miała czekać i mnie. Od najmłodszych więc lat – zupełnie jak ojciec – pomagałem w mniej skomplikowanych robotach; a to przekrawałem zadrukowane arkusze, a to podklejałem pojedyncze wypadające strony. Im starszy jednak byłem i im dłużej trudniłem się pracą w warsztacie, tym więcej wstępu żywiłem do fachu introligatora. Nużyła mnie żmudna robota przy wycinaniu, opary kleju powodowały bóle głowy, a słabe światło starej żarówki w pracowni niemalże mnie usypiało. Nie wierzyłem również w przeznaczenie, a spadkobierstwo zawodu w mojej rodzinie brałem za zwykłą przezorność życiową i nic poza tym. Zamierzałem w przyszłości wyjechać do większego miasta i podjąć się pracy tłumacza, a byłem tak zdecydowany, że nie dopuszczałem do siebie myśli, jakoby plany moje mogły ulec zmianie.

Do czasu aż zmarł ojciec.

Wydarzyło się to zupełnie nagle i niespodziewanie, i przysporzyło wiele problemów. Zostałem bowiem ostatnim spadkobiercą warsztatu introligatorskiego w rodzinie, jako iż dziad mój zmarł wiele lat wcześniej, pozostawiając pracownię do dyspozycji ojca. Stałem się jedynym właścicielem całego dobytku, jedynym, który potrafił posługiwać się profesjonalnymi narzędziami, a także jedynym, na którego mogli liczyć stali klienci zakładu. W pierwszej chwili po śmierci ojca zdawało mi się, że może ten stary, cichy człowiek, który przeżył swoje niespełna siedemdziesiąt lat w lekkiej



zgodzie z przeznaczeniem, miał rację i oto jakaś przedziwna siła pchała kolejnego mężczyznę w rodzinie ku warsztatowi. Tę myśl – jak i wiele innych, równie niedorzecznych, które nawiedzały mnie później – zepchnąłem w najdalsze zakątki świadomości i powziąwszy postanowienie o przerwaniu tradycji rodzinnej, udałem się do Zurychu, gdzie – z dala od domu – zamierzałem rozpocząć pracę tłumacza.

Przyjazd do Szwajcarii, jak okazało się później, rozpoczął historię zupełnie odmienną od tej, jakiej oczekiwałem. Wkrótce miało wydarzyć się coś, co przyniesie mógł tylko duch mojego nadgorliwie ufającego przeznaczeniu ojca, a co zaczęło się w konsulacie, gdzie szukałem pomocy w sprawie zatrudnienia. Otrzymałem bowiem informację, że nie tylko nie ma dla mnie posady tłumacza, ale nie ma dla mnie posady żadnej, a w ogóle to nie powinienem zwracać urzędnikom głowy, sprawują oni bowiem bardzo poważne i odpowiedzialne funkcje, i nie marnują przy tym czasu, jak ci flegmatyczni imigranci, poszukujący łatwego zarobku. Domyśliwszy się, że to do mnie piją, postanowiłem szukać zatrudnienia na własną rękę. Dopiero odnalezione zupełnym przypadkiem w jednym z poczytniejszych tygodników informacyjnych ogłoszenie o poszukiwaniu asystenta księgarza pozwoliło mi wierzyć, że nie czeka mnie bankruci los emigranta. Na rozmowę o pracę poszedłem przepelniony pewnością siebie i naiwną wiarą w pomyślność dalszej mojej szwajcarskiej przygody. I faktycznie – z początku wszystko wskazywało na to, że dostanę posadę, o którą się ubiegałem. Nieopatrznie jednak, chcąc podkreślić więź, jaka łączyła mnie z książką od najmłodszych lat, wspomniałem kilkoma słowami o tradycji rodzinnego fachu. Oczy rozmawiającego ze mną księgarza błysnęły, uśmiechnął się szeroko i oznajmił, że nie mógł spodziewać się lepszego kandydata niż taki, który parął się w przeszłości introligatorką, jako że na zapleczu leżą całe stosy starych, zniszczonych książek, które księgarnia, przez brak miejsca magazynowego, miała odsprzedać miejskim antykwariatom ze sporą stratą. Słyszac to, poczułem, jak staję się własnym ojcem, jak przeznaczenie dosięga mnie swoją chciwą dłonią, jak milknę pod ciężarem nieuniknionej przyszłości. Nie, na to przystać nie mogłem. Zerwałem się i bez słowa opuściłem sklep. Chciałem jak najszybciej wyjechać z Zurychu, nie wierząc, by to miasto mogło dać mi schronienie przed tym, przed czym uciekałem z tak daleka.

Bez zastanowienia spakowałem swoje rzeczy i pobiegłem na dworzec kolejowy, licząc, że zdążę jeszcze złapać ostatni pociąg do Paryża. Ponieważ jednak zablądziłem po drodze, gubiąc się wśród zawilych uliczek miasta – spóźniłem się. Następny skład odjeżdżał za prawie pół doby, ale ponieważ wymówiłem już pokój w moim hotelu i nie miałem dokąd wrócić, pozostało mi przeczekać na dworcu. I właśnie stacja, na której się zatrzymałem, peron, który obejmowałem uważnym spojrzeniem, przyniesieć miał gwałtowną zmianę kolei moich losów, a zmianą tą miało być dziecko. Dziewczynka, którą dostrzegłem tuż obok, zanosila się pełnym żalu szlochom, a wyglądała przy tym tak mizernie i słabo, że nie potrafiłem przejść obok obojętnie i musiałem zapytać, czy nie mógłbym jej jakoś pomóc. Ze łzami w wielkich, okrągłych oczach wyznała, że jej ukochana książka umarła.

– Umarła? – zapytałem.

Dziewczynka wytłumaczyła szybko, choć nieskładnie, że książka jest już tak stara, iż grzbiet jej zupełnie się zniszczył i wszystkie kartki oderwały się od okładki. A potem wybuchła jeszcze głośniejszym płaczem. Uspokoić ją udało mi się dopiero, gdy wytłumaczyłem, że książki mają to do siebie, że nie umierają nawet wtedy, gdy są bardzo, bardzo stare.

– Książki są wieczne – powiedziałem. – Ostatecznie, nawet jeśli cały tusz wyblaknie, wszystkie strony się gdzieś zapodzieją, a okładka złamie się na dwie części, historia, którą książka opowiadała, pozostaje w czytelniku i dlatego nigdy nie ginie.

Przyznałem nawet, że potrafię naprawiać takie niewielkie, literackie defekty i już miałem obiecać jej pomoc, gdy uświadomiłem sobie, co robię.

Cisnąłem książkę na ziemię i nie bacząc na onie miała ze zdziwienia dziewczynkę, ruszyłem przed siebie. Pokonany, zrozumiałem, że nie ucieknę od przeznaczenia. Pojąłem w końcu, że mężczyźni w mojej rodzinie są przeklęci przedziwnym introligatorskim urokiem i że nie ma mocy, która uratowałaby mnie przed starym warsztatem, z cierpliwością dawnego przyjaciela, oczekującym mojego powrotu. Zmieniłem więc plany podróży i złapałem pociąg do Polski, w niedługim czasie przedostając się z powrotem w rodzinne strony.

I tak szedłem teraz wzdłuż ulicy mojego dzieciństwa, pachnącej mirabelkami i schnącym w ogródkach praniem, wzdłuż ulicy, na końcu której stał mój dom rodzinny, a przy nim warsztat wraz ze wszystkimi narzędziami, klejami

i pożółkłymi arkuszami papieru. Warsztat, niosący w sobie historię mojej rodziny, zupełnie jak książka zapisująca dzieje głównych bohaterów. Szedłem więc, ciągnięty losem, jak mój dziad prowadzony przez parobków, a także jak mój ojciec cichy w swej zgodzie i pokorze. Szedłem, aż stanąłem u bram mojego dzieciństwa, a tam, gdzie kiedyś mieściła się izba biblioteczna i obok niej pracownia, odnalazłem teraz zgliszcza tego, co kiedyś było moim domem.

Pożar – mówili sąsiedzi. – Wszystko z dymem poszło.

Splonęły trzy izby, a wraz z nimi malachitowa biblioteczka i wszystkie książki kolekcjonowane przez matkę.

Splonął również warsztat i wszystko, czego używali do pracy mój ojciec i dziad, a więc i wszystko to, czego i ja mógłbym używać do pracy. Nie myśląc wiele, zabrałem swój bagaż i skierowałem się w dół ulicy, zastanawiając się, czym teraz, jeśli nie intrologatorką, będę mógł się zająć. Po drodze dziwiłem się samemu sobie, gdyż to, co ojciec nazywał nieuniknionym losem, a co nie istniało dla mnie dotychczas, teraz objawiało się pustką w moim umyśle, paskudną dziurą, która zajęła miejsce dawnego, dziecięcego mitu, w który nie wierzyłem przecież, a który był mi tak bliski i drogi.



foto. Quinten de Graaf / Unsplash

ZUZANNA RYBARCZYK

– urodzona w 2004 roku, uczennica II Liceum Ogólnokształcącego w Białymstoku. Jest laureatką Olimpiady Literatury i Języka Polskiego.